



Wacław Żelazek

część VII z VII

Sygnatura notacji: **N0076**
Data urodzenia: **16.09.1919 r.**
Data nagrania: **17.09.2007 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Rafał Pękała, Anna T. Pietraszak**
Czas nagrania: **cz. I: 58 min, cz. II: 59 min, cz. III: 60 min, cz.IV: 60 min,**
Format nagrania: **video** **cz.IV: 60 min, cz.V: 59 min,**
Język nagrania: **polski** **cz.VI: 60 min, cz.VII: 61 min**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Wacław Żelazek: A więc proszę państwa, w latach 60., do 1968 roku, ja powróciłem z Argentyny do Włoch i wtedy odbywała się druga sekcja soboru watykańskiego drugiego. Udawało się wtedy przyjechać z Polski wielu biskupom, z którymi oczywiście, będący wszyscy znajomi mego brata Stanisława, który był przełożonym generalnym domu zmartwychwstańców w Rzymie, tam w tym domu kilku biskupów zamieszkiwało w czasie pobytu i w Rzymie, dlatego mnie skomunikował od razu, ponieważ miałem bardzo pojemny samochód, żeby tych biskupów w czasie jednej sekcji a drugiej, zabierać i obwozić, i pokazywać Rzym i Włochy, co z największą chęcią robiłem. I w ten sposób zabierałem po pięciu biskupów co najmniej, bo samochód był na sześć osób, swobodnie jechaliśmy. Po Rzymie mniej, bo Rzym to oni mniej więcej już tam poznawali, ale jeździliśmy dalej. Więc trasa ulubiona to była na Monte Cassino pierwsza. A po drodze odwiedziliśmy Gaetę, sławne więzienie Piusa IX, jak go wyrzucili z Rzymu, tam jest forteca taka. Ale najpiękniejsze miejsce to ja chyba wynalazłem. To się nazywa Montagna Spaccata. To jest w Gaecie. Żebyście zobaczyli, co to za cud, nie powiem siódmy cud świata. To jest góra, się schodzi tą górą aż do morza, to może być jakieś 300 metrów. Schody są zrobione. I ta góra w pewnym momencie to ma z jednej strony wypukłość, a z drugiej strony wchodzi. Według tradycji włoskich i opowiadań to mówią, że jak Pana Jezusa krzyżowali na Golgocie, to się otwierały góry, ściany świątyni się zawałały i tak dalej, to mówi, że wtedy ta góra się otwarła i w pewnym miejscu rzeczywiście widać, idąc po schodach w dół, to widać, o, tu jest wklęsnięcie, a tu wystaje kawałek skały. Jakby rzeczywiście wziął, to złożył razem, to by się zamknęło. Schodząc coraz niżej, w pewnym momencie na tej skale jest wyżłobiona dłoń. Mówią, że tam schodził jakiś niewierzący w to i mówi: „Co to?”. Ta ściana to z gliny, czy co?”. Ja mówię: „Ręką przyłożył i został ten odcisk”. Trzeba mieć dużo wiary, żeby w to wierzyć, ale ten odcisk tam jest. No i później się schodzi zupełnie na dół i mówię wam, przepiękna grota w morze i morze na dole. Taki zajazd na łódki,

na kajaki i tam wjeżdżają pod tę grotę. A jeszcze przed grotą jest piękna kaplica świętego Filipa Nereusza. To jest patron Rzymu. Tam się nabożeństwa odprawiają, pielgrzymki tam schodzą, a więc to bardzo charakterystyczne miejsce. I później jeździmy dalej przez Gaetę, Formia, do Neapolu. Przed Neapolem zawsze zatrzymywaliśmy i tym przewielebnym księżom biskupom to pokazywałem sławny wulkan siarczany, pracujący. On pracuje, dlatego tam tylko wolno wchodzić na ten wulkan za przewodnikiem. Ale ja już tak znałem, mnie tam ci włosiaki znali, mnie pozwalali, więc ja moją grupę tych księży biskupów wprowadziłem i zaraz przy wejściu każdy dostał kamień, bryłę kamienia i mówię, proszę, ale zawsze jeszcze ostrzegałem, żeby mieć czyste sumienie. Bo jak ktoś rzuci kamieniem, takie tam jest... i mówię, sumienie ma nieczyste, to może się od razu zawalić. I rzeczywiście, jak się wrzuci ten kamień, to słychać „Bum!”, taki odgłos, bo pod spodem jest pusto. Jak studnia zamknięta. No dziwne to jest. Później każdy dostaje w rękę taki żelazny pręt. Wystarczy włożyć do ziemi, wcisnąć go i od razu wyskakuje gorące siarczane powietrze. Idzie się dalej i widzi się jakieś 10 metrów na 10 metrów taką, które się gotuje, piasek, lawa, gotuje się na miejscu. Tam wychodzi dym, siarczany dym, to się gotuje. Później wracam po dwóch, trzech miesiącach to w tym miejscu jest znowu zasklepione, można chodzić, a 10-20 metrów dalej się gotuje. Więc to tam żył, ten wulkan jest żywy. Albo jest takie stoisko, chłopak tam stoi, ma taki piecyk, którym się nie pali. Bierze, piasek zbiera, podkłada pod ten piasek i patrzy, on się gotuje. Wkłada kamyk i ten kamyk od razu siarką się obraca. On tam tym handluje, na pamiątkę kupują ludzie, a to robi na miejscu, na widoku. Idziemy dalej, jest taka grotka. Grotka wielka, może tam wejść z dziesięć osób do niej. Ale potem się trzeba rozebrać prawie do naga i zupełnie przy ziemi wejść do środka i później, kto może wytrzymać, powoli, powoli się podnosi, aż dokąd może wytrzymać, bo z tych ścian, z bocznych, to bije żar. Żywy żar siarczany. Więc oczywiście jak ktoś tam dojdzie do tego stopnia, że wytrzymać nie może, zostawia wszystko i ucieka na zewnątrz. I tu jest bardzo dziwna rzecz, tam z tej gorączki wychodzi na zewnątrz, czy to będzie w zimie, czy w lecie, ale zawsze chłodne powietrze, to można by się zaziębić. Tam się nikt nie zaziębił. Przeciwnie, podobno to jest bardzo dobre lecznicze miejsce. Tam specjalnie przychodzą, zwłaszcza na choroby skórne. No i tych moich księży biskupów tośmy tam namawiali i chodzili. Niektórzy wytrzymywali, drudzy nie. Ale próbowali wszyscy. I później jechaliśmy do Neapolu. A jeszcze przed Neapolem, przepraszam, przed Neapolem zatrzymywaliśmy się, zawsze im pokazywałem taki kościółek, kapliczkę przy drodze. To jest stara Via Appia Antica. Stara, bo jedyna, która prowadziła przy morzu, a później za czasów Mussoliniego, jak osuszył Błota Pontyjskie, to jest inna droga prosto. Przechodzi przez te błota i do Neapolu wychodzi. Ale my zawsze jeździliśmy tą charakterystyczną starą Via Appia, stara. I zatrzymywaliśmy się przy tej kapliczce, no i znowu ciekawa rzecz. Tam pokazują kamień za szybką. Kamień i na tym kamieniu czarna plama. Więc według tradycji i mówię, mając dużo wiary w to, podobno na tym kamieniu został ścięty święty January, patron Neapolu. I jak jest, rozcieńcza się krew w ampułce, w Bazylice w Neapolu, tam, gdzie niby spoczywają zwłoki świętego Januarego, to na tym kamieniu też ta czarna plama się robi czerwona i krew jakby się rozcieńczała. Mówię, trzeba mieć dużo wiary, ale ja widziałem to na kamieniu czarno i widziałem w dzień świętego Januarego, bo pojechałem z bratem, właśnie Stanisławem, w dzień świętego Januarego, żeby oglądać na dole w tej ampułce, jak ten cud następuje i widzieliśmy to, od razu wracając, patrzą i ta krew jest rzeczywiście czerwona, ta plama się robi czerwona. Dobrze, później wjeżdżamy do Neapolu, objeżdżamy ten Neapol precudny. Trzeba poznać, bo to tam za jednym razem, to mało co, ale Pozzuoli, na góry, te piękne widoki, morze na dole, przepaść taka, z daleka widać te wyspy wszystkie, jedna, druga, trzecia. Cudne widoki. I poszliśmy do tej bazyliki, żeby oglądać ten cud świętego Januarego. Co było celem niby naszej wizyty. Nie mojej, bo ja już tam kilka już znałem, ale bratu chciałem to pokazać. Okazuje się, najpierw chodzimy, żebyście słyszeli krzyki, hałasy, przekleństwa tych Ne-

apolitańczyków. Bo ten cud się jakoś długo nie objawiał się. Ta ampułka tam, w której, jak mówię, było widać taką bryłkę czarną, tak ona się nie rozcieńczała, nie robiła się krwią. To mówię wam, wyzywali w straszliwy sposób tego świętego Januarego, wyzywali go po prostu, co ty robisz, co ty za pomysł i tak dalej, od najgorszych wyrazów. No wreszcie cud wystąpił. I widziałem, szedł arcybiskup Neapolu, przez kościół przechodził, ludzie oklaskują, krzyczą, hałasują, wiwatują. I chodzi z tą jampułką, którą ja dawniej widziałem tam w ołtarzu jako taka bryłka za szybką w ampułce. A on przesuwa i to jest, krew się zrobiła niby. Czerwona piana taka i płyn. On sobie tak przesuwa i pokazuje to ludziom. Ja stałem, to już to widziałem. Bo trzeba mieć dużo wiary, ale tak jest, to widziałem. I oglądaliśmy piękny Neapol z biskupami nie raz, ale przeważnie wtedy to Januara to z bratem specjalnie pojechałem. A [niezrozumiałe, 00:11:27] później z Neapolu z powrotem Casiliją, drugą drogą do Monte Cassino. Więc na Monte Cassino się podjeżdżało, wtedy jeszcze w 60. latach, to było można wejść od cmentarza właściwie na prawdziwe miejsce bitwy, to jest w górę nad cmentarzem, i jest obelisk 3. Dywizji i tam są wypisane wszystkie nazwiska poległych, bo tam były najcięższe, najkrwawsze walki o to wzgórze. Wtedy było można obejść drogą, tą drogą, którą Polacy też, zaraz po wojnie jechałem, zaraz po akcji, to tam było rozwalone, te bunkry było widać. Tam nawet ja jeszcze widziałem, jakiś tydzień po wojnie, jak tam wyciągali, robili porządki, to ja widziałem ten bunkier, taki bunkier widziałem, jak trzy trupy polskie leżały przed tą dziurą przed bunkrem, a dopiero ten czwarty zdążył rzucić do dziury granat i rozsadził Niemców, ale te trupy już tam leżały jeszcze. Tak jeden na drugim, a zaduch niesamowity, bo gorąco, to się szybko rozkładają ciała. Tośmy tak zbierali, bo ja byłem przy budowie tego cmentarza. Byłem, dlatego że musiałem, bo tam właściwie Polacy ich nie mogli, to Włochów żeśmy zapędzali. Włosi pracowali pod naszym dowództwem i trzeba było z nimi się dogadywać.

Anna T. Pietraszak: A w którym to było roku?

Wacław Żelazek: W czterdziestym... zaraz po akcji, jakieś dwa miesiące po akcji już się zaczęła budowa cmentarza. W 1944 w maju, więc gdzieś w lipcu, sierpniu. O, ja to kończyłem to moje przysposobienie wojskowe i mnie od razu do tych akcji, do takich właśnie. Dogadać się z Włochami, ponieważ znałem język, więc wykorzystywali mnie. Tak, więc jedziemy z biskupami na Monte Cassino i po zwiedzeniu tego cmentarza, wtedy był otwarty. Teraz już zamykają na noc, jest w ogóle brama i wiem, jak byłem ostatnio, to już tam jest zamykane. Wtedy jeszcze było wszystko otwarte. Jeszcze ten cmentarz był taki, że tak powiem, prawie że jakby na nowo robiony. I obeszlśmy cmentarz oczywiście, później po cmentarzu, jeszcze nie było wtedy, bo Anders jeszcze żył. Więc nie było jeszcze jego grobu. Wtedy już był grobowiec generała Duchy, tam pod ołtarzem do góry. I od razu pod ten pomnik 3. Dywizji. Uciążliwa droga, ale była otwarta, podczas gdy teraz, później już jakieś, jak byłem na uroczystościach w Monte Cassino, już powiedzmy dziesięć lat potem, w 1974, 80, to już było wszystko pozamykane. To prywatne własności, droga zamknięta i tylko prywatny albo gdzieś tam za pozwoleniem można było iść do góry pod ten postument. Ale jak ja byłem w 1960 roku, to muszę przyznać, to zrobiło na mnie wrażenie przykre nawet. Bo cały ten monument stoi na szczycie takiej skały. Tam nie było dobrze zrobione, chyba na chybcika, na szybko, nie było mocno, nie było dobrze umocowane, deszcze, ulewy i tak dalej, zaczęło to się, te skały jakby otwierać. Ten monument stał i jeszcze stał taki obelisk, ale był wtedy w bardzo przykrym stanie. Później podobno już się zabrał do tego rząd londyński, podobno nawet komuniści tutejsi, rząd warszawski dopomógł, no i to wyprostowali i naprawili. Ale teraz tam dojść już chyba nie można. A jeszcze wyżej, ja byłem, ale już z biskupami tam już nie było wolno, bo to jeszcze trzeba iść górami i lasem, trzeba wejść

do pomnika, to jest krzyż, który stoi na tanku, na, jak się nazywa...

Anna T. Pietraszak: Czołg.

Wacław Żelazek: Na czołgu. Na czołgu stoi żelazny krzyż, który widać z daleka, z tej drogi na dole, z Casilili, gdziekolwiek by jechał, w jakimkolwiek kierunku, to ten krzyż widać. To jest krzyż na pamiątkę postawionej 5. Dywizji Polskiej. 5. Dywizja to była piąta, Dywizja Żubrów się nazywała. To byli przeważnie Gliniaczy i Lwowiaczy. No dobrze, po zwiedzeniu wzgórz montecassińskich jeszcze zawsze wracaliśmy, na dole, przepiękny cmentarz wspólnoty angielskiej. To Nowozelandczycy, Australijczycy, Anglicy, piękny cmentarz, ale na dole, w Cassino, w mieście Cassino. Trochę na uboczu, ale na dole. Ale do góry, o, to mogę opowiedzieć, to było też w 1964 roku, gdy jeszcze wtedy urządały się w każdą rocznicę zdobycia Monte Cassino, odbywały się międzynarodowe, to znaczy, tych wszystkich bojowników, byłych kombatantów, zbierali się, zrobili wieczorem już capstrzyk taki, zebranie. I jeździliśmy, i zapalaliśmy znicze na wszystkich cmentarzach. No i ja tam właśnie w 1964 roku, ponieważ ja już byłem w Rzymie wtedy, to mnie kombatanci polscy w Rzymie urzędujący, wydelegowali mnie, żebym ja tam pojechał na ten capstrzyk i zajął się tym zapalaniem zniczy. Ja oczywiście pojechałem moim samochodem, ja wtedy mieszkałem niedaleko, 20 kilometrów od Monte Cassino, pojechałem wieczorem i właściwie z Polaków wieczorem byłem sam. Byłem sam, a była tam grupa niemiecka, francuska, angielska, żołnierze, wojusy, dawni kombatanci, zbierali się, popijali i tak dalej, i zbierali się, żeby jechać na te cmentarze i zapalać te znicze. Ja wreszcie sam moim samochodem, sam nie jadę. A pamiętam, przyczepiła się do mnie akurat grupa Niemców. A on mówi, jadą, bo oni mają też cmentarz, trochę oddalony, ale w górze, nie na dole, do góry tam. Mają swój niemiecki cmentarz. Więc zabierają mnie i jadą. Jak najbardziej, ja mój samochód zostawiam, no i zabieram się z nimi taką ciężarówką i jadę. No jadę, ja tam po niemiecku nie rozumiem ani z nimi nie chcę rozmawiać, siedzę jak truteń, ale w pewnej chwili koło mnie siedzi taki wojak niemiecki. I patrzy raz, drugi, otwiera się, coś zagaduje, ja mu nie odpowiadam. Wreszcie on mnie stuknął, miał drewnianą nogę i to tylko zrozumiałem. I mi mówi, o tutaj, na Monte Cassino, tam Polak mi ją urwał, ale na wesoło. Oł, robota Polaka. Miał sztuczną nogę drewnianą. Później popalaliśmy znicze na polskim, od razu pojechaliśmy na ten niemiecki, wróciliśmy na dół, na Monte Cassino i mówię wam, żeśmy chyba cała noc z tymi Niemcami, później dołączyli Francuzi, dołączyły wszystkie inne nacje, piliśmy i opijaliśmy, bo dopiero na drugi dzień przyjeżdżała cała generalicja ze wszystkich tych nacji, które walczyły na Monte Cassino, przyjeżdżali i była uroczystość oficjalna. I wtedy się jeszcze używało, kilka lat po wojnie to było jeszcze, że wtedy była taka uroczystość w klasztorze na Monte Cassino, że zbierały się matki tych poległych, dawnych bojowników, na Monte Cassino. I tam miał być taki akt pojednania. Takiego przed Bogiem, przy modlitwach i tak dalej. Bardzo piękna uroczystość, w której ja byłem, widziałem, tam zbierała się cała hierarchia kościelna i cała elita wojskowa. Tam poznałem na przykład generała francuskiego, tego, który dowodził całą ekspedycją francuską. No już zapomniałem jego nazwisko. Bardzo sympatyczny, bardzo oddany Polsce, rozmawialiśmy. I po tym później się wracało, każdy do domu i kończyło się uroczystość. Do góry na bazylice i tak było zawsze rokrocznie, aż do chyba 1970 roku. Później od 1970 roku to pojednanie, to zebranie na Monte Cassino, już widziałem, że nie było. Bo jak byłem w 1974 roku, to już tego nie widzieliśmy. To już nie było. Ale wtedy w 1964 roku to jeszcze było. No i co jeszcze. Z biskupami to nie tylko w stronę Monte Cassino, to jeździliśmy w zasadzie na drugi cmentarz, na północ, do Bolonii, a po Bolonii, żeby jechać do Bolonii, to musieliśmy zwiedzać Perugię, wszystkie sławne miejscowości, bo wtedy autostrady nie było jeszcze. To trzeba było jeździć, żeby dojechać z Rzymu do Ankony, to mówiłem,

trzeba było pół dnia jechać. Wszystkie te góry odwiedzać, miejscowości, bo droga szła, stara droga Casilina. Się kręciła i odwiedzała wszystkie miejscowości po drodze. Wszystkie sławne, wszystkie przepiękne, wszystkie godne odwiedzenia, wszystkie pełne zabytków. Ale nas do Ankony na nasz cmentarz, na nasze pamiętki ciągnęło. Nawet jechaliśmy, odwiedzaliśmy i Loreto. Piękny cmentarz w Loreto, o, Bazylikę Matki Boskiej Loretańskiej. I później cmentarz Forli, ten największy cmentarz polski, który wtedy był, jak mówię, opuszczony, a obok był cmentarz, tego, wspólnoty angielskiej i przepięknie utrzymany, to aż mnie krew zalewała, że jak można, no jak, to tutaj piękny cmentarz, a tutaj sprzymierzeńcy, ale wtedy komuniści nas zdradzili i tak dalej, to oni pewnie by chcieli, żeby ten cmentarz też zginął, o. Ale tuż obok, prawie sąsiadowali. Jeden pięknie utrzymany, a nasz opuszczony. Ale później wzięliśmy, jeszcze byłem kilkanaście lat potem i nie wiem, jakim cudem już był dobrze odnowiony znowu. A ten cmentarz jest przepiękny, bo jest wejście z ulicy, od razu się wchodzi jakby na taki taras. Z tego tarasu to widać cały cmentarz, a pod tarasem to jest jakby taka piwnica i w tej piwnicy jest cały szlak bojowy Korpusu pokazany. Na mapie tak wyrysowany i wypisane są wszystkie nazwiska ofiar naszych bohaterów, naszych poległych żołnierzy.

Anna T. Pietraszak: Mam pytanie o kardynała Wyszyńskiego.

Wacław Żelazek: O kim?

Anna T. Pietraszak: Kardynał Stefan Wyszyński.

Wacław Żelazek: Kardynał Stefan Wyszyński był też raz na takiej wycieczce ze mną. A jeszcze przedtem pamiętam, że jak przyjeżdżał na ten sobór, a on tam bardzo ciężko mógł z Polski wyjechać, mu robili wielkie trudności, to myśmy tam na stacji Termini, bo to koleją przyjeżdżał. To myśmy mu tam zrobili taką owację, że ci Włosi czegoś podobnego nie widzieli pewnie. Wszyscy Polacy, a księży tam pełno, tych zakonników, kleryków i tak dalej, to żeśmy zrobili taką manifestację, żeśmy go na ramionach wynosili ze stacji, tam drzwi do jakiegoś pojazdu. A później miałem tę okazję, że go wiozłem raz moim samochodem, razem z biskupami, na taką wycieczkę krajoznawczą. Ale tak bezpośredniego z nim kontaktu nie miałem. A to zdjęcie, które tam mam, to raczej jest z tego powodu, że mi go dał ksiądz arcybiskup Nowicki, to był wielki przyjaciel mego brata, oni chyba razem studiowali. I on był pierwszym arcybiskupem tutaj na ziemiach odzyskanych w Gdańsku. Wielki Polak, przyjaciel niesamowity. Z nim to chyba jeździłem ze cztery, pięć razy. Z nim raz po takiej wycieczce to chciał poznać moją rodzinę i poszliśmy do mnie do domu, ja mieszkam w pięknej dzielnicy w Rzymie, na drugim piętrze, apartament ładny. Tam była żona, moje dzieci, bośmy se popili, te... kopita jedna po drugiej, winka, nie winka, mojej produkcji. I było bardzo wesoło, i dlatego później na koniec mi dał to zdjęcie z błogosławieństwem, tam jest Wyszyński, ojciec święty Jan XXIII i arcybiskup Nowicki. A z drugiej strony, tak my oprócz tej jednej wycieczki, ale to z innymi biskupami, to specjalnie kontaktu nie miałem. I to przyjęcie tam wtedy, ale to wspólne przyjęcie było. Większe przyjęcie i bliżej znam kardynała Wojtyłę, to tak. Bo z nim nie tylko, że jeździłem, ale byłem i kopitkę winka popijaliśmy po objęciu stolicy tej rzymskiej. Każdy nowy kardynał dostaje w Rzymie swój kościół, niby ma się nim opiekować. I on dostał taki kościół, starą bazylikę na Via Appia. I tam z bratem Stanisławem samochodem moim pojechaliśmy na objęcie tej bazyliki przez kardynała Wojtyłę. I potem po objęciu pojechaliśmy do kościoła polskiego w samym centrum Rzymu, do kościoła świętego Stanisława i tam było, się nazywało hospicjum. To był taki hotelik dla dawnych turystów polskich, toż dawniej do Rzymu jechać to nie było

tak jak teraz, to jeździ ktokolwiek. Kiedyś do Rzymu pojechać, to się końmi jeździło, to tam później koleją, ale to były bardzo rzadkie takie wyjazdy. Więc to hospicjum właśnie służyło na to, żeby taki turysta, taki pielgrzym, który jechał do Rzymu, miał pierwsze oparcie. I w tym hospicjum tam spotkaliśmy się wszyscy, którzy brali udział w objęciu tej bazyliki z kardynałem Wojtyłą. Pogadałem tam najpierw i później piękne przyjęcie, poczęstunek, żeśmy sobie każdy kopitę tego winka popijali wspólnie.

Anna T. Pietraszak: A jaki on był, ten kardynał Wojtyła?

Wacław Żelazek: Jaki był? O, to był wtedy jako kardynał, tutaj jakby nasz ojciec wspólny. Tak jakby nas wszystkich wziąć i objąć, i przycisnąć do siebie. Bezpośredni, taki, gdzie tam kardynał, jego mało co obchodziło. Jemu chodziło, żeby być z Polakami, żeby, o, porozmawiać sobie, nacieszyć się i bezpośredni taki. To mam to wrażenie. Żeby wziąć kopitę w rękę i iść do każdego, i sobie potrząsnąć kieliszkiem, taki był Wojtyła.

Anna T. Pietraszak: A dla Wacka, do pierwszej podróży od wyjazdu z Polski, ile lat minęło?

Wacław Żelazek: Dla kogo, dla mnie?

Anna T. Pietraszak: Tak.

Wacław Żelazek: Od wyjazdu z Polski, dokąd, do Polski?

Anna T. Pietraszak: Do powrotu.

Wacław Żelazek: Więc od 1936 roku, do Polski wróciłem w 1963. Do Polski.

Anna T. Pietraszak: 30 lat.

Wacław Żelazek: Tak.

Anna T. Pietraszak: Jak sobie przez 30 lat taki młody emigrant wyobrażał, co jest w Polsce?

Wacław Żelazek: Więc byłem z uprzedzeniem, bo do Polski wjechać nie chciałem. Mnie namówił mój brat Stanisław. Gdyby on mnie nie namawiał, ja bym do Polski nie pojechał.

Anna T. Pietraszak: Ale przez te 30 lat, jak myślałeś o Polsce, to jaką ją sobie wyobrażałeś?

Wacław Żelazek: Ja sobie wyobrażałem Polskę tę, cośmy widzieli, ja sobie wyobrażałem Polskę taką, jaką ja znałem przedwojenną Polskę, którą żeśmy odbudowywali ze zgliszcz, po 150 latach niewoli powstawała i z wielkim wysiłkiem to widzieliśmy, jak cały naród pracował, straszny wysiłek i to, cośmy wtedy zrobili. Ja sobie taką Polskę, ten szacunek

dla kościoła, szacunek dla wojska naszego, ten patriotyzm, ja sobie taką Polskę dalej marzyłem, zawsze ją widziałem w obliczach taką. Ale jak później przychodziły te pierwsze odznaki, wiadomości z Polski, to już po opanowaniu przez komunizm, to Polska, dopiero się rozwidniło, moja wiadomość o Polsce, jak tu przyjechałem i zbadałem, że tak nie jest, ja myśmy sobie wyobrażali. Że tak źle nie było. Zwłaszcza po takim przejeździe przez Czechosłowację wtedy, gdzie już widziałem ten komunizm, widziałem te zasieki. No a ja miałem też wspaniałą jakąś, ja nie wiem, tak się zdarzyło, że opatrność Boża sobie, że akurat tam na granicy przy strachu ja tam wjeżdżam, tym bardziej, że mój brat ksiądz wiezie tam pełno świętości, które, wiem, że nie wolno było wwozić do Polski, a tam spotykam właśnie tę Włoszkę, która wyszła za Polaka i tam mnie przyjmują i świętują, i nic nie badają, i zrobili się wielkimi moimi przyjaciółmi. To mnie się od razu rozjaśniło, mówiliśmy, jeśli taka jest Polska komunistyczna, no to świetnie. To się czułem naprawdę jak w raju. I później rzeczywiście przejeżdżałem, i objechałem tę Polskę. Ja dopiero wtedy poznałem Polskę, bo przejeżdżałem, w ciągu tych ośmiu lat pobytu we Włoszech ja byłem pięć razy w Polsce. Swoim samochodem, to miałem możliwość objechać tę Polskę i poznać, i dopiero tam widziałem, poznałem ludzi, a jak zobaczyłem kościoły wtedy przepiękne, widziałem ten lud, jak się ciągnął, to robili, jak później się tam pisali, opowiadali, że to było, ten opór przeciwko reżimowi, jaki panował wtedy w Polsce, ale dla mnie to było szokiem. Ja byłem przygotowany na to, że tam każdy tego komunizmu się boi, że jest nie wiadomo jak uprzedzony, że tam słowa nie można powiedzieć. Jak ja tam posłyszałem kawały, jak zaczęli opowiadać na komunistów i tak dalej, to ja... Ale jak wróciłem później na zachód z powrotem, to tak szczerze wam powiem, to mnie uważali prawie za zdrajcę, że ja się odważyłem do Polski pojechać, a niech Pan Bóg powiedzieć coś dobrego o tej Polsce. Jak ja mogłem coś źle mówić, bo mnie rzeczywiście potraktowali bardzo przyzwoicie, nie mogę narzekać. Podczas gdy ja później zawiozłem brata na drugi rok, w 1964 jechałem. Żonę zabrałem i brata, który przyjechał specjalnie z Argentyny. Namówiłem go ja i zawiozłem do Polski. Jego tak, jego to już tam zaczęli szukać, wołać, wypytywać, rewidować. Miał paszport argentyński już, ale mnie nigdy. Po moich pięć razy wyjazdach, jedyne, co mnie zszokowało, co mi się nie podobało, to ciągłe meldowanie. Przy wjeździe trzeba się zameldować, tu mieszkam, do tego czasu, już przenosi się na drugie miejsce, że musiałem się meldować, że jestem teraz tu. Tak jakby to był jakiś przestępca, za którym chodzi policja i chce o mnie wiedzieć. Jak wyjeżdżam, to trzeba było jeszcze odmeldować, że wyjeżdżam. To mi się naprawdę nie podobało, ale poza tym to narzekać nie będę. Tym bardziej, że dobrze państwo wiecie, że nam obcokrajowcom, pomimo tego, żeśmy musieli kupować te vouchery sławne, które ja nie uważam wcale za jakieś, niektórzy to mówili, to jest wyłudzenie pieniędzy, że to jest oszustwo. Ja tak nie uważam, ja za te vouchery, które trzeba było po oficjalnym kursie zamieniać, te dolary, to ja je, chodziłem do hoteli i płaciłem te same ceny, co płacą Polacy. Obliczali niby po oficjalnej cenie ten dolar. Ale to dla mnie to była taniocza, tak czy owak. To nie było żadne oszustwo. A poza tym, jak ktoś miał kilka dolarów w kieszeni, tam sobie zmienił na lewo, czy prawo, to był tutaj panem w Polsce wtedy. A to pewnie, że myśmy jeździli po tych dobrych hotelach, myśmy tam w tych dobrych hotelach, tośmy tam mieli te wolne rynki, tam można było wszystko kupić, za dolary oczywiście. Ale po dobrych cenach, przystępnych. Ale przecież ja widziałem, że w Polsce była bieda. W Polsce, pamiętam, jeździłem z moim siostrzeńcem. On, akurat wtedy miało mu się urodzić dziecko, to przez całą Polskę, gdzieśmy zajechali, to on szukał tych, jak się nazywają, dla dziecka pieluszki. I nigdzie nie dostał tych pieluszek. Gdzieś dopiero, pamiętam, w Warszawie, widzi, duża kolejka stoi. On do tej kolejki pyta się, a po co to jest, a bo pieluszki sprzedają. No i stoi gdzieś tam na końcu, jak już doszedł do sklepu, to on chyba na drugi dzień wyjechał z Warszawy. Ale jakaś pani starsza podchodzi do niego i mówi: „Proszę pana, ja już te pieluszki kupiłam, ja panu odsprzedam. Ja je panu oddam, a ja sobie postoję tutaj, bo pan, widzę, się spieszy.” i tak dalej. No i w ten sposób

dostał pieluszki właśnie. Więc była bieda w Polsce. Ale my przyjeżdżając z Zachodu, jak mówię, mieliśmy prawo te kilka dolarów i kupowaliśmy w tych sklepach, w tych hotelach tam. To i były wspaniałe ceny. W tych hotelach, gdzie się mieszkało za te vouchery, to proszę państwa, to były hotele pięciogwiazdkowe na Zachodzie. Wspaniałe hotele. Ale pamiętam taki wypadek, który... o, ja przyjechałem, ale to już było później, w siedemdziesiątym chyba... tak jak ja wróciłem drugi raz do Argentyny, w 1974 roku. Wyjechałem na wycieczkę do Monte Cassino i w Rzymie się zatrzymałem, i z Rzymu zabrałem mego syna, synową i wnuka. I urządziłem im wycieczkę do Polski, wielkie starania, oni mają obywatelstwa włoskie, więc wielkie vouchery płacić i tak dalej. Załatwiliśmy wszystko i zawiozłem ich do Polski. I pamiętam taki wypadek, że byliśmy w hotelu w Warszawie, w Domu Chłopa. To był piękny hotel. I tam po pięknej kolacyjce, tam wszystko można było dostać, wódeczkę, nie wódeczkę, winka tylko przynosili, obsługiwali, mówię wam, pierwsza klasa, hotel. A później wieczorkiem sobie idziemy do góry, tam był taki salonik, półświatka, pół takie ocienione. Tam sobie siedziały parki zakochanych i sobie rozmówki cichutko, cichutko. My też dosiadamy, tam koniaczka zamawiamy, taka starsza pani kelnerka podchodzi, jak najbardziej koniaczku. I sobie rozmawiamy. W pewnej chwili do tego saloniku w nocy, wieczorem już, wpada gromada chłopaków, rozwydrzone takie chłopaki. Ale to, co... I krzyk, hałas, od razu zasiadają do stolików i papierosa, tu, wódka... A to, co? Podchodzi tam pani i prosi, zamówienia bierze od nich. Oni się wyśmiewają... i wreszcie ona odchodzi, i ja widziałem, jak jeden z tych chłopaków wziął, podłożył jej nogę i ona się przewróciła. Ona się przewróciła, to nawet ja powstałem, ją podnoszę, a mówię, co to za ludzie? A ona mówi, to są Żydzi. Młodzi Żydzi, którzy przyjechali. Oni się tu dalej, tak ona mówiła od razu, oni się tu dalej... i panami. Oczywiście ona podniosła się, poszła, zawołała strażników i ich wyprowadzili. Ale pamiętam, że moja synowa, Włoszka, wykształcona, ona była oburzona. Ja nie mogłem jej tego wytłumaczyć. Ona mówiła, że miała pretensje, że my, o, proszę, widzicie, jak Żydów prześladowacie.

Anna T. Pietraszak: Który to był rok?

Wacław Żelazek: 1974.

Anna T. Pietraszak: A potem jak przyjeżdżał wujek do Polski, to kiedy się spotykaliście z ojcem Marianem? Kiedy to było?

Wacław Żelazek: No chyba w sześćdziesiątym... w tym ośmioleciu tośmy dwa razy się spotykali. Z tym, że chyba w sześćdziesiątym... już od koniec, chyba 1967 rok. Ja pojechałem do Szwajcarii odwiedzić mego tego kolegę ministranta, księdza, dawnego kapelana. I w tej chwili dostaję wiadomość, że przyjeżdża Maryś do Rzymu, jedzie do Polski przez Rzym. Więc jest w Rzymie, a mnie w Rzymie nie ma, byłem w Szwajcarii wtedy, a gdyby się dostał do Szwajcarii, to trzeba było dużo papierów, dokumentów, wizę szwajcarską i tak dalej. Więc od razu mówię, Maryś, ja teraz nie wrócę do Rzymu na spotkanie. Może jak będziesz wracał, się spotkamy. Ale mówię, zrobmy jedną rzecz. Ja pomogę, ja załatwię przez tych Szwajcarów znajomych i tak dalej, żeby ci dali wizę, przyjedź ty. Zanim pojedziesz do Polski, to przyjedź do Szwajcarii i Maryś tak zrobił. Ja mu tam wystawiłem, że te papiery, wizę szwajcarską, żeby dostał od razu. I przyjechał, i spotkaliśmy się w Szwajcarii u tego naszego wspólnego kolegi, ministranta dawnego. Jakie tam było spotkanie, później ten kolega Szwajcar, znany już tam w całej Szwajcarii, obwoził nas po wszystkich tych familiach, którzy pozostali w Szwajcarii, którzy mieli żony Szwajcarki. Niektórzy byli tak świetnie urzędzeni. Ich pamiętam

zawsze, że była taka rodzina, Kazimierz... on Kazimierz, nazwiska już nie pamiętam, który się pobrał ze Szwajcarką, bardzo przyjemna kobieta. Nauczyła się pięknie po polsku. Mieli dwoje dzieci, a on był majordomo. To był takim dowódcą całej tej służby u tego sławnego kompozytora szwajcarskiego, ten, który napisał piosenkę do „Doktora Żywago”, do tego filmu. Ten, jak się nazywa... do [nuci piosenkę], o, tę piosenkę napisał sławny kompozytor. I ten jako majordomo tam u niego, to wiecie, co on miał? On miał willę. Dla siebie i dla swojej rodziny. Willę, miał swój prywatny samochód. I były akurat święta. Jak mu ten właściciel, ten kompozytor, jak mu przyniósł na święta życzenia, to był taki wielki kosz obłożony trunkami, koniakami ze wszystkich stron świata. I wszystko wypełnione słodyczami i różnymi ciastami, tymi wypiekami tamtejszymi. On się czuł jak pączek w maśle. On był tam królem. A jego robota polegała w tym, że pilnował tam całej tej służby i był szoferem. A wiadomo, jak to szoferstwo wyglądało. Ten gość jeździł po całym świecie, był bardzo znany kompozytor. Więc mówi tak, ja dzisiaj, mówi, jadę do Berlina. Odwieź do Bellinzony. Oni byli w Locarno. Oni do Bellinzony, Bellinzona to jest miasto stołeczne tego kantonu włoskiego. Odwieźli do Bellinzony. I ja biorę tam samolot, i jadę do Berlina. I na drugi dzień przyjeżdża do Neapolu, odebrać mnie. On sobie już tam radził, jeździł po świecie, tam to na obiadek, czy tam na spotkania jego, to mało co go obchodziło. I on tym mercedesem wspaniałym jeździł po świecie. Przyjechał do mnie do Rzymu po drodze, odwiedził. I zjawił się tam o tej i o tej godzinie w Neapolu i odbierał tego gościa, i go wiozł do domu. I tak to naprawdę się odbywało.

Anna T. Pietraszak: Następne spotkania z ojcem Marianem, takie z ostatnich lat, to kiedy były?

Wacław Żelazek: Później było... Ale to był 1977 rok chyba. To spotkanie tam wtedy w Szwajcarii. I później chyba byłem... Oj, tam dziesięć... O ile się nie mylę, to się spotkałem dopiero, jak odstawiał swoje 50-lecie kapłaństwa i 50-lecie pracy w Indiach.

Anna T. Pietraszak: To był 1998 rok?

Wacław Żelazek: 1998 rok, tam dopiero się spotkaliśmy w rodzinie. Najpierw przecedna msza święta, z której mam video, w kościele. Wtedy jeszcze nie był kościół, teraz jest kościół, a przedtem to była kaplica cmentarna na Cmentarzu Bożego Ciała w Poznaniu. Tam niedaleko tej siostry na Lipowej. Tam wielka uroczystość rodzinna i parafialna. Ten proboszcz tej parafii to wielki jego przyjaciel. Oni tam... Maryś wiele razy przyjeżdżał, to wiem, że do niego musiał zawsze iść. Niejaki ksiądz Józef, bardzo sympatyczny. I tam cała rodzina się spotkała, była piękna uroczystość jubileuszowa. Wtedy Maryś chyba został ze trzy miesiące. To ja mu asystowałem jeździłem wszędzie i między innymi byliśmy na uroczystości prałata Peszkowskiego. I wtedy wydaje się spotkałem się z tobą, tam w Warszawie. I tam było to namówienie mnie do powrotu do Polski. Z Marianem, jak mówię, po trzech miesiącach pobytu, no ja wracałem, a ja pierwszy wracałem do Argentyny, a on tu jeszcze pobył i wracał do Indii.

Anna T. Pietraszak: A jaki on był, jak tutaj przyjechał wtedy w 1998 na te spotkania? Był chory?

Wacław Żelazek: Nie, nie, wtedy jeszcze... tylko go bolały nogi, te grube nogi. Nigdy nie narzekał jeszcze na jakieś choroby, na serce, to później było. Od dziewięćdziesiątego i coś, to wiem, że zaczęły się jego choroby. Rozrusznik, jak mu tam wstawiali i tak dalej. Ale wtedy był, oj, jeszcze wspaniały, młody, pełny werwy. Tylko opowiadanie o tych jego

wyczynach, bo oczywiście wszyscy, całą rodziną, tylko marzyli, a tak pojechać do Indii, a tak pomóc jemu, a tak razem żyć. A ja już najbardziej, tak, ale ja byłem już w dalekiej Argentynie i wtedy tam były takie stosunki, że o wyjeździe z Argentyny, to nie wystarczyło całą majątek sprzedać, żeby dostać tylko bilet, takie były dewaluacje. Rodzinka się zbierała. On, tak jak mówię, tak rzadko przyjeżdżał i po tylu latach te spotkania, to wszystko było wspaniałe, przemile.

Anna T. Pietraszak: Troszczył się o was, wypytywał?

Wacław Żelazek: No?

Anna T. Pietraszak: Czy troszczył się o was, całą rodzinę, pytał się o was?

Wacław Żelazek: No, pytał, ciągle utrzymywaliśmy kontakt, ja mam tych listów, to mówię, tam pozbialiśmy, tu jest cały plik taki, ciągle, Maryś na święta, na... później, bo ja nigdy nie miałem telefonu. Ale jak wyszły pierwsze telefonki te przenośne, te kieszonkowe, przyjechała akurat moja córka tam do Argentyny i na siłę. Wiecie, ile zapłaciłem za ten pierwszy? 600 dolarów. Żeby dostać ten telefonik, boże drogi, mówię.

Anna T. Pietraszak: A czy wy jako rodzina troszczyliście się o ojca Mariana? Na przykład robiliście jakieś pomoce dla niego, wysyłaliście coś do niego?

Wacław Żelazek: Tak, zawsze.

Anna T. Pietraszak: A co to było?

Wacław Żelazek: A co był, to co chciał. To, o co prosił. Czy jakieś leki, czy jakieś ziółka, pamiętam, to się od razu organizowało i się wysyłało. Kilka paczek wysłałem z Argentyny do niego. A rodzina? No, jak to nie pamiętać, jak najbardziej, kto mógł, to pomagał.

Anna T. Pietraszak: A pieniądze wysyłaliście mu?

Wacław Żelazek: Pieniądze chyba nie. Ja na przykład... niemożliwe było wysłać pieniędzy, nam nie wolno było wysłać, był zakaz. Tak jak mówię, pieniądź argentyński był nic nie wart nigdy. Dzisiaj też, jak będziecie mieli pesos argentyńskie, to weźcie go wyrzucicie od razu, bo go nigdzie, nawet patrzeć na niego nie będą.

Anna T. Pietraszak: A ta rodzina, co w Polsce, to wysyłała mu pieniądze?

Wacław Żelazek: Prawdopodobnie tak.

Anna T. Pietraszak: A ten brat ksiądz ze Szwajcarii?

Wacław Żelazek: A ten jak najbardziej. O, właśnie, jak był w Szwajcarii, to od razu ksiądz zorganizował kilka

takich spotkań z ich, z jego... bo on był tak poważany w tej Szwajcarii, że jego biskup na siłę zatrzymał, tam nie mają powołań, nie mają księży, a tu taki dzielny, młody, wspaniały mężczyzna został tam po wyjeździe Polaków, nie chciał go wypuścić i on został tam, dał mu najlepsze parafie. Nawet jak Maryś zajechał, przy mnie, tam, żeby odwiedzić mnie i jego też, bo to byliśmy wspólnie ministranci, koledzy. To on od razu zorganizował takie... po tych parafiach, które on obsługiwał, takie zebrania misyjne. I wszystko dla Mariana, wszystko dla niego. To mówię wam, on tam pobyl chyba ze trzy dni, zebrał kupę pieniędzy. Szwajcarzy pod tym względem byli bardzo hojni.

Anna T. Pietraszak: A jak to jest, żeby być bratem świętego?

Wacław Żelazek: Co to za pytanie?

Anna T. Pietraszak: Co się wtedy czuje, co się myśli, co to jest takiego?

Wacław Żelazek: Chciałoby się być takim, jak on. Marzy się o tym. Zaraz po śmierci tam różne księgi pamiątkowe, zapisywali się, ja tylko umiałem napisać: „Maryś... Życzę sobie tylko to, żeby się spotkać w niebie”. To moje życzenie, mój zapis, bo nic więcej nie umiałem napisać. Do spotkania w niebie, o.

Anna T. Pietraszak: To teraz pytanie, jak już się zdecydowałaś na to, żeby wrócić do Polski i zostać tu na stałe, to jaka ta Polska miała być, jak sobie ją wyobrażałaś?

Wacław Żelazek: Ja sobie ją wyobrażałem taką, jaką ja ją zostawiłem przed wyjazdem z Polski. Prawdziwie opartą na wierze chrześcijańskiej, na kościele. Ja sobie wyobrażałem Polskę, która w czasie procesji Bożego Narodzenia prezydent miasta prowadzi księdza, który niesie monstrancję, za ramię. Tak sobie wyobrażałem. I jak przyjeżdżałem tutaj za czasów komunistów, to byłem podniecony, bo widziałem te kościoły pełniejsze, a teraz widzę chłód. Teraz widzę ochłodzenie, upadek. I dlatego ja zwalczam to, bo ja widzę, że ludzie omamili tych Polaków. Ich zrobili na szaro przez propagandę przeciw kościołowi. A zniszczyć kościół, to zniszczyć Polskę. Bez kościoła nie będzie Polski, jak Polska nie będzie bez kościoła. My jesteśmy synonim. Polska tylko na kościele może być oczywiście. Ale my mamy tu, przecież mamy najślawniejszego Polaka, mamy Ojca Świętego Jana Pawła II, który... ja sam byłem na takiej audiencji, on powiedział do misjonarzy, się wyraził: „Nie jedźcie. Nawracajcie Europę”. Myśmy powinni być takim przedmurzem chrześcijaństwa w Europie, bo Europa jest... mówię wam, dla kościoła prawie stracona. Zobaczcie, co się dzieje w Niemczech, kościoły opuszczone. Irlandia, kościoły nam oddają, tylko jedźcie, przyjedźcie, zabierzcie, wszystko oddają. Nie ma powołań. Tylko Polska jest i dzięki Bogu, że my mamy jeszcze ten kościół taki silny. Te powołania jeszcze są, chociaż coraz mniej też. Bo inaczej, to... Dla nas Watykan, kościół, to jest... Polska jest teraz ostoją, jest tą ostatnią nadzieją. I my musimy tego pilnować, nie pozwalać tego kościoła zwalczać. A ten kościół dzisiaj według mnie to jest, o, reprezentant tego kościoła to jest taki ksiądz Rydzyk, taki ksiądz Bartnik, Bajda, wielcy patrioci, profesor Nowak, którzy prawdę mówią. Oni nic nie robią żadnej propagandy, to nie prawda, o judaizmie, antyjudajzmie i tak dalej. Oni bronią Polski, kościoła przez Polskę. I Polskę przez kościół.

Anna T. Pietraszak: A jak po tych Włoszech i po Argentynie lądujesz tutaj w takim małym miasteczku, można powiedzieć w głębokiej prowincji w Złocieńcu, to jak to widać, jakie to jest miasteczko, jakie jest twoje odczucie?

Wacław Żelazek: Przede wszystkim pierwsze, co mnie uderzyło, opatrność boża, zobaczcie, ja za ministranta, całą moją młodość, całe prawie życie spędziłem u Zmartwychwstańców, tam na Wildzie w Poznaniu. Tam z Marysiem, ci ministranci przecież to są rzeczy, które wkończyły się w nas. Przyjeżdżam do Złocieńca, patrzę, są Zmartwychwstańcy. Mało, tę parafię tu w Złocieńcu to mój brat prawie założył. On tutaj po ziemiach pierwszy zaraz po wojnie, jeździł po ziemiach odzyskanych i w Złocieńcu tutaj był. I tu tę parafię zakładał. I tu pracują wspaniali, tak samo, jak pracowali u nas tam na Wildzie przed wojną. Zmartwychwstańcy. To mnie bardzo przyciągnęło raz. No i mówię, to są moi wielcy przyjaciele, tu do mnie przychodzą na szacha, my jesteśmy przyjaciółmi. Ja tam do nich chodzę. Konferencje dają do akcji katolickiej, do jakiejś elity chrześcijańskiej. Oni mnie zapraszają. Nie tak dawno temu było pięciu księży Zmartwychwstańców, którzy obchodzili swoje złote wesele kapłańskie, 50-lecie kapłaństwa. Oczywiście mnie zapraszają, zawieźli mnie na takie przepiękne miejsce nad jeziorem, tylko restauracja była tam. I tam wielkie przyjęcie. Przedstawił się jeden po drugim, wszystko wychowankowie mojego brata. Mój brat przez długie lata był rektorem Wyższego Seminarium Zmartwychwstańców w Krakowie. Dlatego później go wydelegowali na tego przedstawiciela Zmartwychwstańców polskich na to zebranie generalne w Rzymie. Dlatego to raz. A drugie, przecież Złocieniec jest przepiękny, chyba to musicie przyznać. Spokojne miasteczko, a człowiek po świecie się potułał, obtłuł się, no i napracował, nie, bardzo. Mnie się wydaje, że mi się należy teraz trochę odpocząć. A idealniejsze miejsce jak to, chyba już nie znajdę.

Anna T. Pietraszak: A pieniędzy ci wystarcza, Wacku?

Wacław Żelazek: Kogo?

Anna T. Pietraszak: Pieniądzy.

Wacław Żelazek: No pieniędzy, bozia sprawiła, że tak dobrze mogłem sprzedać tę moją posiadłość w Argentynie, że mogłem kupić ten dom na własność i mam takie zasoby, że mam z tego dochód, z tych moich oszczędności, które pozostały, bo teraz dochodów tutaj to ja nie mam żadnych. Ten słaby, ta emerytura moja, która miała być 250 dolarów. Jak dolar był po 500 złotych za dolara, a teraz jest dwieście i coś, o połowę. A jak po dewaluacji i po ostatniej rewolucji tam, to zamiast jeden na jeden, to jest pięć na jeden, to ja dostaję zamiast 100... 250 dolarów, to dostaję 50 dolarów. Co za 50 dolarów można zrobić w Polsce dzisiaj?

Anna T. Pietraszak: To jak się utrzymać za te 50 dolarów?

Wacław Żelazek: Trochę jest tej emerytury argentyńskiej i jest trochę większa nawet dziś emerytura argentyńska, jest dodatek kombatancki polski.

Anna T. Pietraszak: To razem, jak masz 1000 złotych.

Wacław Żelazek: Ale nie mam, gdzie tam 1000 złotych. Jak mam 500 złotych, to mnie wystarczy.

Anna T. Pietraszak: Ale na wszystkie opłaty i na jedzenie, i na światło?

Wacław Żelazek: Starczy mnie. Dla mnie samego starczy. A jak mówię, oprócz tego mam pewne oszczędności, które też jakiś dochód dają.

Anna T. Pietraszak: I dalej uważasz, że warto było wrócić tutaj do Polski?

Wacław Żelazek: Jak najbardziej, zawsze wrócę do Polski, chociażby mi... gdzieś jakąś tam widział, gdzieś ogródków działkowych jakiś domek, ale w Polsce, żeby to było. A jak z jednym bratem i z Marysiem też, ale Maryś mniej, bo Maryś był zakochany w swoich Indiach, ale z tym drugim bratem, który później był misjonarzem w Brazylii i przyjeżdżał. Ja do niego jeździłem, ale on co roku przyjeżdżał do mnie na wakacje, bo ja byłem tam przepięknie urządzony. Ale zawsze rozmawiając tak, gawędząc między nami, mówi: „Oby tylko umrzeć w ziemi ojczyźstey”, w domu, bo gdybyście zobaczyli taki pogrzeb tam. Tam jednego brata chowałem w Argentynie, brata Kazimierza. To ja wam mówię, tak szczerze, po jego śmierci, widząc to, jak tam tego nieboszczyka traktują, tak mówią, tak prosto. Umarł o 10:00 godzinie wieczorem, o godzinie 9:00 następnego dnia rano był już pod ziemią. Tak tam się obchodzą ze zmarłymi.

Anna T. Pietraszak: A jakie jest teraz twoje pragnienie na ten pobyt w Polsce, do końca życia?

Wacław Żelazek: A pewnie. Do końca życia oglądam się, czy gdzieś tutaj kości złożyć, ale ja myślę, że mnie tam w razie czego przygarną albo Werbiści, czy Zmartwychwstańcy do ich grobowców i tam mnie pochowają. Albo tu mam taki piękny cmentarzyk pod nogami, bliźniutko, to tutaj o... Aby tylko w Polsce. Bo mówię, gdzie będę szukał innych, nie ma nigdzie cmentarzy takich, jak w Polsce. A gdzieś pod te sosny, te świerki, szumią. Ten spokój, ten Dzień Zaduszny, ta miłość dla zmarłych Polaków, tego nie ma nigdzie na świecie. A mówię, ja raz wracałem, pamiętam, z Polski, w Dzień Zaduszny, musiałem jechać w nocy, wieczorem i widziałem Polskę z lotu ptaka. Mówię wam, to wyglądało, jak żłóbek jakiś, cała Polska oświetlona, te znicze, te cmentarze, wszystko to było w świetle. Mówię, to jest widok. Tego nigdzie nie spotkacie na świecie, tylko w Polsce, dzięki kościołowi, tylko nie zapominajcie o tym. Dzięki kościołowi, naszym tradycjom, które kościół najwięcej utrzymuje.

Anna T. Pietraszak: Jakie jest twoje credo?

Wacław Żelazek: Credo jakie... To chrześcijańskie, katolickie: „Wierzę w jednego Boga Wszechmogącego”, a drugie, to jest księdza Piotra Skargi, codzienną modlitwę, jaką słyszę w Radio Maryja po różańcu, to jest Apel księdza Piotra Skargi. Modlitwa za ojczyznę i o ojczyznę. Słuchacie ją kiedyś? To, co mówił ksiądz Skarga, jak się modlił za naszą kochaną Polskę, za naszych tych, którzy mają prowadzić Polskę, za naszych rządców, ale dobrych rządców. Oczywiście katolickich, chrześcijańskich. Taką Polskę. To jest moje credo.

